Rozmaitości

Dnia 7. Marca **N^er. 10.** Roku 1840.

MARGRABIA CHARNAY.

Z francuzkiego

PODŁUG PANA MARIA AYCARD.

W roku 1770 żył w Wersalu margrabia Charnay, przyjemny, dowcipny człowiek, spółczesny Ludwika XV, u którego przez lat pięćdziesiąt był paziem. O czém przez całe życie nie pamiętał, przyszło mu na myśl w sześćdziesiątym roku życia jego: postanowił w pewnéj młodéj i pięknéj damie nietylko zakochać się ale i ożenić się z nią. Śmiałości takiéj nie zwykł świat puszczać bez uwag; jakoż w tym względzie nie obeszło się bez przycinków; sam nawet król dał mu do poznania, na jak wielkie niebezpieczeństwo się naraża; nie omieszkała także i pani Dubarry z swojéj strony zganić mu tego zamysłu uszczypliwym żarcikiem. Ze szkodą jego biegały przez długi czas u dworu różne opowiadki. Margrabia Charnay spędził młodość swoję burzliwie, dawał się unosić rwiącemu potokowi wielkiego świata. Lecz przyszedłszy do statecznego wieku stał się oględnym. Chcąc na łonie cichéj, domowéj szczęśliwości zachód dni swoich słodko przepędzić, ożenił się z równie piękną jak i rozumną panienką. Byłto związek bardzo draźliwy i wiele do namysłu dający; ale margrabia był ugrzecznionym, uprzejmym i przenikliwego rozumu człowiekiem. Na tych przymiotach budując świątynię przyszłości swojéj, ułożył sobie tak wielkiém staraniem, tak wielką przychylnością i tak nieustanną dobrocią otoczyć małżonkę swoję, tak troskliwie uprzedzać wszystkie jéj życzenia, iż sądził, że pani Charnay, jeżeli już w sobie od dzieciństwa wkorzenionych złych nałogów nie miała, niezawodnie z nim najszczęśliwszą będzie. Szczęściem dla niego, że młoda małżonka jego, była istotnie dobrą, łagodną i poświęcającą się swym powinnościom; on zaś z swojéj strony nielenił się dopiąć tego, dla dworaka bardzo trudnego zamiaru, iż nieokazując widocznie checi rozstania się z dworem, dniem za dniem zwolna całkiem od niego się uchylił, i wszelkiego starania dołożył, aby w domu swoim zgromadził to wszystko, coby tylko margrabinie życie uprzyjemnić mogło. Wkrótce zjawili się tkliwi kochankowie, ale z niczém odprawionymi zostali. Pan Charnay nie był ani zazdrośnym ani niedbałym, i dokazał tego, iż u żony swojéj, jeżeli nie ognistą miłość, przynajmniéj prawdziwą przyjaźń, szacunek i największe zaufanie pozyskał. A więc zdawało się, iż wszelkie złe przepowiednie na niczém się skończyły.

Jakkolwiek margrabia był całkiem w swojém stanowisku zabezpieczony, jednakże miał tę przezorność, iż nie przestawał być ostrożnym: był on, jakto mówią, i podczas pokoju zawsze pod bronią. — Pomiędzy osobami, które do hotelu pana Charnay uczęszczały, znajdował się także pewien młody kapitan, baron Breteuil, którego zalotnictwo zaraz z początku baczność margrabiego na siebie ściągnęło. P. Breteuil będąc młodzieńcem twarzy ujmującéj, cokolwiek posępnéj, w zachowaniu się skromny i stateczny, w miłostkach wprawy jeszcze nie mający, był już przez to samo człowiekiem dla rozumnéj, młodéj niewiasty bardzo niebezpiecznym,

i nie mógł w starym spółzawodniku swoim nie wzniecać obawy. Pan Charnay przekonał się z przestrachem o namiętności kapitana, któréj zgubne skutki już się na jego bladéj i niespokojnéj twarzy kreśliły. Na swoje największe nieszczęście postrzegł także, że i żona jego na twarzy coraz bledszą i coraz posępniejszą się stawała. Nie był on bynajmniéj na to przygotowany; nie życzył sobie, aby się mu stała niewierną, ale nie chciał jéj także widzieć nieszczęśliwą. Przebiegłszy w swojéj głowie tysiączne układy, z których jeden od drugiego do wykonania był trudniejszym, postanowił nakoniec udać się wprost do swojego spółzawodnika, i sądził, że się mu powiedzie rozbroić go szczérą i otwartą uwagą. Wszedłszy do jego pomieszkania, zastał go przy toalecie, którą z pośpiechem kończył, dla udania się do margrabiny, u któréj go codziennie zakochanym i roztargnionym widywano.

»Mości baronie!« rzekł margrabia do niego, »jesteś w méj żonie zakochanym. Gdybym był o lat dwadzieścia młodszym, nie mówiłbym w ten sposób; wtedybyśmy nie tu, lecz na innem miejscu o to się rozprawili. Ale ramię moje już drzące, nie ma siły do robienia szpadą; jestem więc przymuszony udać się baronie do twojego względu i twojego honoru, a to nie dla tego, abym miał sądzić, iż żona moja już się w tobie zakochała, lecz dla tego, iż młody mężczyzna, który ciągle u mojéj żony bywa i okazywać nie ustaje, że jest najgorętszą ku niéj miłością trawiony, nakoniec dla niéj w istocie niebezpiecznym stać się może. Gdybym ci baronie wstępu do mojego domu zabronił, ściągnąłbym na siebie podejrzenie, że jestem zazdrośnym, i możebym przez to samo na zalety twoje zwrócił margrabiny uwagę. Wtedybyś znalazł sposób widywać ją na przechadzkach, w teatrze i w towarzystwach. A więc tylko u ciebie samego baronie pomoc w téj mierze znaleźć mogę. Nie chciéj zatruwać ostatnich dni życia mojego! Oddal się z tych okolic; jesteś żołnierzem, spodziewam się przecież, iż nie na samym Wersalu swój zawód ograniczać będziesz, ani téż tu szukać dla swego stanu ukształcenia. Jedź baronie do Stenay, gdzie twój pułk załogą stoi. Ja ci będę winien moję domową spokojność, a żona moja spokojność serca swego; jeszcze raz to powtarzam, iż nie dla tego, jakby cię już kochała, ale że już same zabiegi twoje dla sławy żony mojéj niebezpiecznémi stać się mogą.«

Pan Charnay miał do czynienia z młodym człowiekiem, który przy gwałtownéj namiętności swojéj był oraz szczérym i otwartym, i który zamiast udania się do wybiegów, jak tego od modnego kawalera owoczesne obyczaje wymagały, wcale sobie przeciwnie postąpił. Oto rzucił się obrażonemu małżonkowi ze łzami w oczach na szyję i wyznał mu sam tajemnicę serca swego.

»Ach, mości margrabio! Czegożto odemnie żądasz? Ja miałbym z tąd się oddalić? Tego ode mnie żądać — jestto żądać mojéj śmierci! Mówisz mi margrabio o moim przyszłym zawodzie? Dla mnie nie ma żadnego, jak tylko ten jeden: widywać margrabinę codziennie, oddychać tém samém co i ona powietrzem, i umiérać dla niéj z miłości! Oto jest całe przeznaczenie moje.«

Margrabia, który na wszystko, tylko nie na to, był przygotowany, zmiészał się tém wyznaniem bardzo. Podziwiając szczérą, otwartą miłość barona, poznawał oraz, że w niéj zamieszkał żar piérwszéj, ale niełatwéj do utłumienia namiętności. Żaląc się na swój wiek podeszły, który mu niedozwalał z spółzawodnikiem swoim w inny rozprawić się sposób, oświadczył panu Breteuil, iż odtąd dóm jego na zawsze dla niego zamkniętym będzie. Jednakże nie chcąc już dłużéj z powodu téj miłości, w śmiertelnéj zostawać trwodze, postanowił pomówić o tém z swą żoną. Chociaż margrabina, jakeśmy już nadmienili, była rozsądną kobietą, jednakże w téj chwili walczyła już z powstającą w jéj sercu namiętnością, która jéj rozum owładnąć zagrażała. Zeznała przed swoim mężem, że pan Breteuil od niejakiego czasu do niéj pisuje, a uniewinniając się, dla czego téj okoliczności już dawno przed nim nie odkryła, oddała mu wszystkie listy kapitana. Margrabia przejrzawszy je, przekonał się, iż każdy wyraz pałał ogniem najgorętszéj miłości. Pan Breteuil wyrażał się wprawdzie, iż kocha bez nadziei,

lecz dodawał, że, jeźli przynajmniéj litośném nie uszczęśliwi go spojrzeniem, rozpacz go do samobójstwa przywiedzie. Pani Charnay zdawała się być mocno przerażona tą groźbą, a margrabia wiedział bardzo dobrze, że politowanie aczkolwiek nie jest jeszcze miłością, jednakże jest już jedną z owych dróg, które do niéj prowadzą.

Szlachetna, otwarta miłość, która się nie wahała nawet na śmierć poświęcić, była jedyną myślą, która całkiem panią Charnay owładła, a nawet w sercu jéj przychylność dla pana Breteuil pozyskała.

»Nieszczęśliwy!« rzekła. »On się zabije!«

»Być może,« odrzekł margrabia ozięble. »»Baron Breteuil uczyni, co się mu podobać będzie. Ale co do wpani, — wpani umrzész.«

»Ja, mój panie?« zapytała margrabina z lekkiém zdziwieniem.

»Tak moja pani, wpani téj nocy jeszcze umrzész.«

»Cóż wpan przezto chcesz powiedzieć, mości margrabio?«

»Już w téj chwili jesteś bardzo słabą. Nié ma nadziei uratowania wpani; choroba jéj coraz bardziéj się wzmaga.«

»Ależ wytłumacz się wpan przecież,« rzekła margrabina, któréj w téj chwili wszelkiego rodzaju okropne powieści w pamięci stanęły.

Margrabia nie wchodził w dalsze objaśnienie swoich zamysłów, lecz dawał baczność na swą żonę, i nie spuszczał jéj z oka aż do saméj północy. Poczém kazał jéj wsiąść do pocztowego powozu i poruczywszy ją pieczy starego poufnego sługi, kazał ją zawieźć do majętności, którą miał jeden z jego braci w Touraine, a którego listownie upraszał, aby się z nią tamże z wszelkiém uszanowaniem obchodzono; a nawet jeżeli to słowem honoru zaręczy, iż obrane dla niéj nowe nazwisko przybierze, i do Wersalu nigdy pisywać nie będzie; aby jéj wolno było przyjmować u siebie z tamtejszéj okolicy znakomitsze osoby. Pani Charnay odjechała. Na drugi dzień pojawił się margrabia u dworu i oznajmił, iż jego żona jest słabą. Drugiego dnia pogorszyła się choroba, a we trzy dni pani Charnaj umarła. Margrabia wdział na siebie żałobę, liberyja jego uczyniła toż samo, a spaniały orszak pogrzebowy, wyświadczając ostatnią posługę zmarłéj, wyruszył z domu margrabiego i udał się do grobów familijnych, które o dziesięć mil od Wersalu były odległe.

»Jak żonę moję kochałem na to mości baronie nié mam wyrazów,« — tak napisał margrabia do pana Breteuil. — »Ale z większą zazdrością niż żonę moję, kochałem mój honor, i dla tego tę ciężką stratę znosić będę z filozoficzną spokojnością człowieka w moim wieku, który widział zagrożoném to, co jest i będzie dla niego najdroższém. Co do wpana, mości kapitanie, którego namiętność do tego stopnia już doszła, iż żadnych granic nie znała, że żadne uwagi, żadne przedstawienia zniszczyć jéj nie zdołały, i który bez oddychania tém samém co i margrabina powietrzem w żaden sposób żyć nie mogłeś, spodziéwam się i z boleścią serca oczekuję, iż niezadługo także o śmierci wpana usłyszę, a to tém pewniéj, że pani Charnay, to mu donieść muszę, w tém przekonaniu umarła, że wpan wkrótce za nią do grobu wstąpisz.«

»O Breteuil, jakżeś ty biédny!« mówili z *Oeil-de-boeuf* modnisie.

W takim stanie rzeczy upłynęło trzy miesiące, a pan Charnay postanowił nareszcie zakończyć wygnanie swojéj małżonki. Margrabina przybyła w nocy, prawie o téj saméj godzinie, o któréj przed trzema miesięcami odjechała. Gdy oddalono służbę, a małżonkowie sami pozostali w salonie, margrabina rzekła:

»Więc stało się! Już ten nieszczęśliwy nie żyje. Dla tego pozwalasz mi wpan do domu wrócić.«

Margrabia na te słowa wyjął z kieszeni mały puilares.

»Oto jest spis wszystkich czynności i postępków barona Breteuil od czasu śmierci twojéj margrabino. W dzień pogrzebu twego jadł smaczno obiad z trzema oficerami w oberzy: »pod trzema Nimfami;« spełniał toasty na twój wieczny odpoczynek, chwalił przepych, z jakim cię pogrzebać kazałem. Na drugi dzień po twoim pogrzebie margrabino, dałem mu do zrozumienia, aby sobie życie odebrał; byłato rzecz, któréjś

margrabino niekoniecznie wprawdzie żądała, aleś jednakże słusznie tego po nim spodziéwać się mogła. Na ten list nic mi baron dotąd nie odpisał, gdyż go ważne okoliczności do Paryża wezwały, gdzie do pewnéj baletniczki, przez wielki smutek po twojéj stracie, namiętne powziął przywiązanie, i tak, bądź grą bądź miłostką pocieszając się w żałobie, strwonił w przeciągu ośmiu dni nie mniéj jak trzy tysiące luidorów. A że nie był majętnym, więc rozrzutność ta wstrząsła mocno jego posadę; postanowił przeto natychmiast wejść w związki małżeńskie. Widzisz margrabino, że baron jest przezornym młodzieńcem; ponieważ się mu w piérwszéj miłości nie powiodło, starał się od tego czasu w miłośném uczuciu nabiérać wprawy. — Teraz kochana margrabino, przywołałem cię do domu, abyś dla pana barona ślubny kontrakt podpisała; masz bowiem wiedzieć, że pan baron żeni się z jedną z naszych powinowatych. Z tegoto powodu zmartwychwstałaś margrabino, niemniéj i z tego, żem szczérze pragnął zobaczyć się z tobą, i że nierównie z większym smutkiem czułem śmierć twoję, aniżeli pan Breteuil.«

Na te słowa nic innego nie pozostało margrabinie, jak tylko rzucić się w objęcie swego małżonka, i przyrzec mu najuroczyściéj, że odtąd nigdy jéj nie uwiedzie mamiący pozór wrzącego uczucia. Jakoż odtąd powzięła ku niemu przywiązanie, które szczérością swoją zupełnie się do miłości zbliżało.

»Moja droga przyjaciółko!« rzekł margrabia, »»żona szczérze przez swego męża kochana, mająca te piękne przymioty, które ciebie zdobią, nigdy nie będzie miała wielkich trudności do oparcia się wszelkim nagabnym ułudzeniom. Przyznaj sama, gdybym sobie nie w ten, ale w inny sposób był postąpił, nie mogłoż przyjść do tego, iżby cię pan Breteuil był naraził na wielkie niebezpieczeństwo, skrzywdził dobrą sławę twoję, a potém cię opuścił? Jakże smutny los byłby dla nas obojga!«

»Przyznaję, iż wszelka słuszność na stronie twojéj margrabio,« odrzekła pani Charnay, na któréj twarzy znowu wesołość zajaśniała; »aleś zapomniałeś, żem ja dla całego Wersalu, dla całego dworu umarła? Jakże mię do życia wskrzesisz?«

»Jest tam pewna osoba,« odrzekł pan Charnay, »któréj nie tajno, że jesteś zupełnie zdrową margrabino, i która chociaż z początku nie zgadzała się na moje ożenienie, przecież nie wzbroniła mi sposobu do uskutecznienia zamysłu mego. Tą osobą — jest król.«

»Czy podobna, król wiedział o tém?«

»Nie inaczéj. Toż sądzisz, moja kochana, iż w Wersalu, prawie pod okiem monarchy, odważyłbym się w ten sposób rozrządzać wolnością jego poddanki, gdybym nie miał na to jego zezwolenia? Wiadomo ci, żem dawniéj był paziem u Jego król. Mości, a ten przebieg, jest podobnież psotą w sposobie paziów, któréj użyłem dla nauczki pana Breteuil, i spodziéwam się, że to będzie moja ostatnia.«

Teraz wypadało jeszcze zemścić się na panu Breteuil, czego też pani Charnay uczynić nie zaniedbała; postanowiła ona zemstą swoją oznaczyć powtórne przyjście swoje na świat. Na drugi dzień, gdy kapitan był u swojéj narzeczonéj, gdzie miał być ślubny kontrakt podpisanym, otworzyły się nagle salonowe podwoje, a lokaj stojący we drzwiach wyrzekł na głos: »Pan margrabia i pani margrabina de Charnay!

Na to wygłoszenie porwali się wszyscy z miejsc swoich i wlepili oczy w podwoje. Pan Breteuil wykrzyknął mimowolnie i wypuścił z dłoni swojéj rękę narzeczonéj. Wyobraźmy sobie młodą, piękną spaniałego wzrostu damę, wystrojoną w owcześnym smaku, mającą jasne, błękitne oczy, pełne, potoczyste, śnieżne ramiona, szyję i piers okrytą drogiémi klejnotami, z maleńką nóżką w trzewiku różanego koloru, na trefionéj głowie rzęsiste, w powietrzu pływające pióra — tak wyglądała umarła, którą margrabia Charnay pod rękę do salonu wprowadził. »Przez Boga! Cóżto ma znaczyć?« zawołali wszyscy obecni z wielkiém zadziwieniem? »Toż pani margrabina żyje? A ować nagła choroba? Owa śmierć i ów pogrzeb — — ?«

»Były mojém i margrabiny dziełem.«

»Ale pocóż to oszukanie?«

»Wymagały tego stosunki familijne,« odrzekł margrabia z uśmiéchem.

Wypadek ten rozweselił towarzystwo i dał powód do rozmaitych żartów: żądano od margrabiny wiadomości o tamtym świecie, jakie tam są zabawy i mody; a tymczasem kapłan związał stułą ręce nowożeńców. Pani Charnay upatrzyła pomyślną chwilę, zbliżyła się do pana Breteuil, i wsunąwszy mu jego listy do ręki, szepnęła w ucho: »Oto, mój panie, są wszystkie wiadomości z tamtego świata; przyznam się, iż nie warto było tyle trudu, aby się po nie aż na tamten świat udawać.«

Dla uzupełnienia zmartwychwstania, przedstawiono margrabinę u dworu, na którym prócz króla i barona Breteuil, nikt nie wiedział o prawdziwéj przyczynie, dla czego margrabina zniknęła i za zmarłą udaną była. Ten ostatni nie miał wcale ochoty wyjawiać komu téj tajemnicy.

»A jak się masz, mój paziu,« rzekł król do margrabiego z uśmiéchem. »Dobrze się rzecz powiodła. Ale zaklinam cię na Boga, nie żądaj téż co trzy miesiące śmierci twojéj żony odemnie!« —

»Sire,« odrzekł pan Charnay, »margrabina, dla dochowania swéj wierności, już więcéj umiérać nie potrzebuje. Niewiasta, która się raz przekona, że ją uwieść chciano, nabywa tak wielkiego doświadczenia, iż mąż jéj spokojnym być może. Lecz na wszelki przypadek, gdyby się powtórnie jakie niebezpieczeństwo okazać miało, upraszałbym Waszą król. Mość o posadę posła w Konstantynopolu lub w Maroko, abym sobie tam z żoną moją podług praw tureckich mógł postąpić; gdyż na wszelki wypadek chciałbym uniknąć niebezpieczeństwa, na które Wasza król. Mość uwagę moję zwróciłeś.«

Jakoż pan Charnay nie zawiódł się w swojém mniemaniu; odtąd żona jego na zawsze wierną mu pozostała. Jedna tylko okoliczność nieprzyjemne na nim wrażenie czyniła, to jest ta, iż margrabina mimo swoję młodość i piękność była ciągle przedmiotem przestrachu dla włościan Wersalskich, którzy będąc na jéj pogrzebie, w to zupełną wiarę dawali, iż ona po trzech miesiącach z grobu wstawszy, do pomieszkania męża swego wróciła. We cztéry lata późniéj umarła istotnie margrabina, a włościanie z pewnością oczekiwali, iż znowu do swojego męża powróci, jednakże ich nadzieja dotąd się jeszcze nie ziściła.

WYPADEK KRYMINALNY.

Przed sądem karzącym w Paryżu, wytoczono w obecnéj chwili ważny proces kryminalny, który się w rocznikach sądownictwa swoją szczególnością odznaczać będzie. Obwiniono pewną znakomitą damę o strucie swego małżonka; dama zaś z pozorną spokojnością sumienia zapewnia, że jest niewinna, a nawet wiele jest okoliczności, które niewinność jéj w téj mierze poświadczają. Jestto niejaka pani Laffarge, córka pana Garata, dyrektora banku francuzkiego. *Journal des Debats* donosi o tym ciekawym wypadku co następuje: »Głęboka tajemnica osłania jeszcze tę straszną katastrofę, która się w Glandier, departamencie *Corrèze,* wydarzyła. Pan Laffarge, właściciel znacznéj tamecznéj hamerni, padł ofiarą przez długi czas z wielką przebiegłością zamierzonego zamachu. Ale któż nam powié, ażali młoda ta niewiasta, na któréj w obecnéj chwili to straszne cięży podejrzenie, nie jest również przeznaczona, aby jako druga ofiara pod ciosem okropnéj zemsty padła? Zdołająż badania sądu, których obżałowana tak łatwo uniknąć była mogła, i która je sama wywołała, przedrzéć się aż do dna prawdy przez te wszystkie sporne i sprzeciwiające się wypadki, które raz się ze wszystkiém zgadzają i znowu nawzajem niweczą? Dotychczas przewidziéć tego nie można. — Jeszcze rok przed swém zamęźciem obudziła panna Garat najżywszą namiętność w pewnym młodym człowieku, i odpowiadała uczuciom serca jego, a wzajemna miłość ta miała być uwieńczoną szczęśliwym związkiem. Obiedwie familije zezwoliły na to zamęźcie, i już do niezwłocznego uskutecznienia tego związku, były wszelkie przygotowania poczynione; gdy oto panna Garat dowiedziała się, że młody człowiek ten, któremu oddać miała swą rękę, pod wpływem innego, kary godnego związku zostaje, i że nié ma już mocy rozrządzenia dowolnie swoją ręką, a przez to samo przyszłości jéj zagraża. Z boleścią serca oświadczyła panna Garat swemu narzeczonemu, że mu już o niéj myśléć nie wolno; jakoż od czasu tego oświadczenia, już się więcéj z nim nie widziała. Działo się to podówczas, gdy pan Laffarge był familii Garat przedstawionym. Niedługo trwało, a pan Laffarge przedsięwziął starać się o rękę panny Garat; układy w téj mierze odbyły się z takim pośpiechem i z tak szczęśliwym skutkiem, że nim dni siedmnaście ubiegło, już się i wesele odbyło. Niezadługo mieli nowożeńcy opuścić Paryż. Młoda, żywa, ukształcona, do świetnego życia w stołeczném mieście przyzwyczajona niewiasta, ujrzawszy się na przyszłość oddaną człowiekowi, w którego zachowaniu się i charakterze wyraźne znamię paralijanina się odbijało, zaczęła z boleścią serca zastanawiać się nad swoim stanem. Spodziéwała się, iż w nowém pomieszkaniu swojém

w Glandier, znajdzie przynajmniéj jakową rozrywkę, jakowe towarzystwo, które tak nagłą zmianę z paryzkiego na wiejskie życie, cokolwiek ułagodzić, lub ją do takowego życia przynajmniéj usposobić zdoła. Nowożeńcy przybyli dnia 15go sierpnia do Glaudier. Pani Laffarge zastała tam tylko stary, niepokaźny dóm, którego smutny widok jeszcze bardziéj przyczynił się do zasępienia jéj umysłu. Również i towarzystwo, z którém w téj okolicy się zapoznała, nie odpowiadało bynajmniéj jéj smakowi. Jakoż wszystkie prawie dni samotnie w domu spędzała. Otóż w tych chwilach smutnéj samotności, znękana przykrém uczuciem rozpaczy, napisała do swojego małżonka list, którego teraz strona skarżąca jako obciążającego przeciwko niéj dowodu użyła. W tym liście oświadczyła swemu mężowi wszystkie udręczenia swojego serca; wyjawiła przed nim miłość, którą jeszcze przed poznaniem go, ku innemu powzięła, dodając, że jakkolwiek niegodnym jest ten, którego kochała, jednakże do innego należéć nie może, i że dla wydobycia się z więzów, których dłużéj znieść nie jest w stanie, wydali się z domu i odtąd samotne życie prowadzić będzie; a jeżeliby przedsięwzięciu temu jaka na zawadzie przeszkoda stanęła, natenczas dla uiszczenia zamiaru swego, nawet życie swoje poświęcić gotowa. Zdaje się, iż list ten przez małżonka jéj odebrany i teszczy udzielony, małe tylko na umyśle ich sprawił wrażenie. Być może, iż się im powiodło uspokoić rozpaczającą młodą kobiétę, albo iż ona sama zastanowiwszy się dokładniéj nad swoim stanem poznała, iż obowiązki swoje z uległością i odwagą wypełniać powinna. Jakkolwiek bądź, to tylko jest niezawodna, iż wkrótce po odesłaniu tego listu, pomiędzy panią Laffarge, jéj małżonkiem i szwagrową, tkliwszy i szczérszy stosunek się zawiązał. Listy w owym czasie pisane, poświadczają o żywéj miłości, jaką w swym małżonku wzbudziła, tudzież o szczérém przywiązaniu, jakie sama ku niemu czuła. Zdaje się, iż sposób jéj myślenia razem ze skłonnością jéj serca doznały odmiany. Odtąd znajdowała przyjemność w odnowieniu starego i posępnego pomieszkania w Glandier, kiérowała razem z mężem upiększeniem tego domu; była szczęśliwą, a przynajmniéj taką być się zdawała; ugrzeczniony jéj sposób znalezienia się, dobre serce i ukształcony rozum, zjednały jéj wkrótce przychylność wszystkich osób, które w domu swojego męża przyjmowała. W tym czasie, w którym pani Laffarge zajmując się sprawami swego męża, zupełnie o sobie zapomniała, dała mu zupełne nieograniczone pełnomocnictwo rozrządzenia swoim posagiem. Pan Laffarge, którego majątkowym stosunkom blizkie i nieuchronne groziło przesilenie, przybył w miesiącu wrześniu do Paryża, dla uzyskania przywileju swobody na ważny wynalazek, który się mu powiódł, i dla zaciągnienia z tego względu potrzebnéj pożyczki, do czego mu właśnie pełnomocnictwo żony jego dogodném było. W czasie swego pobytu w Paryżu pisał do swojéj żony kilkakrotnie w najszczérszych i najtkliwszych wyrazach. Małżonka odpisywała mu na wszystkie listy z równém wylaniem najszczérszych uczuć. W jednym z tych listów doniosła, iż mu posyła kilka ciast, pieczywa w Glandier, że takie same dla siebie zachowała, i że go usilnie o to prosi, aby te ciasta jadł w pewnéj, oznaczonéj godzinie i o niéj sobie wspomniał, gdyż o téj saméj godzinie i ona je także jeść będzie; miałto być obiad sympatyczny. Tylko dwie osoby, taki był dalszy rozkaz w liście, miały jeść te do Paryża posłane ciasta, a mianowicie pan Laffarge i ukochana jego siostra, z którą łączyły ją związki najtkliwszéj przyjaźni. Pan Laffarge zjadł w oznaczonéj godzinie dnia 16go grudnia jedno z tych ciast; zaraz potém uczuł w sobie bole i nastąpiły wymioty. Jednakże niezadługo, chociaż jeszcze był ciérpiący, przyszedł do zdrowia, i powiodło się mu za pomocą pełnomocnictwa swojéj żony zaciągnąć na 25 tysięcy franków pożyczkę. Dnia 3go stycznia wrócił do Glandier z piętnastą tysiącami franków, które w dni kilka w niepojęty sposób zginęły, i ani śladu podejrzenia po sobie nie zostawiły. Od tego czasu pan Laffarge zapadał często na zdrowiu, jednakże mógł się ciągle zajmować zarządem swéj hamerni. Wkrótce pojawiły się nowe symptomata, nastąpiły nowe wymioty, a jednego dnia w chwili, gdy mu podawano przepisany napój, zrażony wychodzącym z niego ostrym i uderzającym wyziewem, odtrącił go od siebie. Zaczął miéć podejrzenie, i wkrótce się okazało, iż napój ten do otrucia dwudziestu osób dostateczną ilość trucizny w sobie zawiérał. Wezwano lékarzy, z których żaden przed tym wypadkiem nié miał podejrzenia o struciu. Tymczasem jeden z wierzycieli pana Laffarge, niepokojącym stanem swego dłużnika przestraszony, zażądał rękojmi dla zabezpieczenia dwudziestu ośm tysięcy franków, które był mu pożyczył. Pani Laffarge zapewniła niezwłocznie zwrócenie ich własnoręcznym podpisem. — Dnia 15go stycznia pan Laffarge zeszedł z tego świata. — W chwili, gdy urzędnik sądowy sprawdzał stan trupa, pokazało się, iż przez jakiś nieodgadniony przypadek, na śmiertelném łożu nieboszczyka leżał nowy surdut, którego pan Laffarge od dawna na siebie nie wdziewał. W kieszeni u tego surduta, znaleziono jeszcze świéży

i jakby starannie przechowany przedmiot, to jest list z miesiąca sierpnia, w którym pani Laffarge swojemu mężowi tak swoję pierwszą namiętność jak i postanowienie opuszczenia go oświadczyła. Lekarze do zwidzenia trupa wezwani nie mogąc znaleźć żadnego śladu trucizny, zeznali, iż ją z tak wielką przezornością zadano, że śladów jéj w nadwerężonych przez nią organach wynaleźć niepodobna. Jednakże późniejsze w Brives na żołądku i wnętrznościach przedsięwzięte chemiczne doświadczenia, zupełnie przeciwny rezultat okazały. Z innych okoliczności dowiedziono także, iż we wszystkie choremu podawane napoje truciznę obficie wsypywano. W pośród wszystkich tych przyjaciół i nieprzyjaciół, których straszny wypadek ten mocno obchodzi, a którzy bronią lub oskarżają, pani Laffarge jest spokojną i pewną swojéj niewinności. Nie odstąpili jéj przyjaciele, których sobie zjednać umiała, a pewna młoda dziewczyna, do któréj szczególniejsze ma przywiązanie, prosiła, aby jéj dozwolono los pani Laffarge podzielać i z nią razem w więzieniu w Tulle zostawać.« Późniejsze wiadomości donoszą, iż sąd baczność swoję najszczególniéj zwrócił na udział, jaki mieć mogła obżałowana w przyrządzeniu zatrutych napojów, w kupowaniu w Uzereches znacznéj ilości arszeniku, jak i w utajeniu paczki, którą na kilka chwil przed sądowem zwidzeniem, w ogrodzie w Glandier, z tą zgubną substancyją zakopano, a dopiero później odkryto.

(Jak się ta zagadka rozwiąże, później doniesiemy.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 9. i obejmnje: 1) Na czem zależy dobre gospodarstwo. 2) Andersona sposób uprawiania nowo-zelandzkiego szpinaku *(tetragonia expensa)*. 3) Jak w Niemczech, Czechach i Anglii piwo warzą. (Dokończenie.) 4) Przestroga dla sprawujących kotły parowe. 5) Sposób zachowania mąki od zepsucia. 6) Wiadomości czasowe.

Lwowianina, wydawanego w połączeniu prac miłośników nauk, zeszyt dziewiąty, opuścił prasę dnia 1go marca r. b.

W Piśmiennictwie krajowém czytamy: Dowiadujemy się z listu pisanego z Wilna, iż Antoni Edward Odyniec, wzorowy tłumacz, przyjął na siebie Redakcyję *Kuryjera Litewskiego*, wydawanego dotąd przez Marcinowskiego. Częścią polityczną Gazety mają po większéj części zajmować się nauczyciele pensyonu szlacheckiego. Spodziewać się przeto wypada, iż ujrzymy w *Kuryjerze Litewskim* oddział literacki, którego dotąd wspomnione pismo nigdy nie miało. Wiadomo z niektórych pism czasowych (np. z Tygodnika) iż A. E. Odyniec pracował nad *Encyklopedyją Powszechną*, któréj głoski *B* i *C* wydał w Wilnie. Teraz zaniechał tego przedsięwzięcia, lecz w zamianę dawniejszych trudów, ujrzymy wkrótce trzeci tom jego tłumaczeń, z których dwa piérwsze wydane w Lipsku u Breitkopfa i Hartla. (*) Ów tom trzeci ma się składać z poematu: *Niebo i ziemia* i powieści Byrona (pod nazwą: *Korsarz*), która była wydrukowana osobno we Wrocławiu 1835 roku. — W Warszawie jest pod prasą *Pamiętnik sceny warszawskiéj* przez K. W. Mieścić on będzie w sobie, prócz fraszki we dwóch aktach przez J. Korzeniowskiego, pod tytuł. *Zakład*, i właściwéj swéj treści, aryje wielkie z *Napoju miłosnego i Konia spiżowego*, dwie inne muzyki, wiele wyjątków z dram i komedyj, wiérszem i prozą; urywki poezyj lepszych autorów; oraz dwie bardzo ważne tablice, z których piérwsza zawiera: »Obraz statystyczny widowisk w dziesięcioletnich peryjodach, poczynając od roku 1799« druga zaś: »Skład teatru w tychże latach.«

(*) R. 1838 T. I. str. 297. zawiera: *Dziewicę z Jeziora*, Walter Skotta. — Tom II. str. 216. mieści w sobie: *Narzeczonę z Abydos*, Byrona. *Czciciell ognia*, Tomasza Moora.

Guttenberg Czechem. Że Jan Guttenberg, sławny wynalazca tłoczni i piérwszy odbijacz ruchomemi czcionkami książek był rodem Czech, ogłosił to pan Jarosław Wertiatko w drugim zeszycie pisma wydawanego w Pradze pod napisem *Wlastimil*, i co powtórzyło pismo czeskie *Kwiety* w Nrze IV. z b. r. Opiera ten p. Wertiatko zdanie swoje na świadectwie starożytnego rękopisma trzech-tomowego, ułożonego przez pewnego nieznajomego pisarza *Słownika czesko-łacińskiego*, który to rękopism posiada pan Jan Wilczek, i gdzie w przemowie ta rzecz ma się znajdować: »*Tum vero Boemi* »*linguam suam specialiter auxerunt, posteaquam artem libros* »*imprimendi invenit Joannes Kuttenbergius Natione Boemus,* »*patria Kuttenbergensis, prius Joannes Faustus nominatus,* »*qui circa annum* 1421. *bella Hussitica fugiens in Germa-* »*niam abiit, Strasburgi se Kuttenbergium a patria (ex more* »*ejus temporis & simul ut suam patriam ab inventione Ty-* »*pographiae commendarit) compellavit.*« Z czegoby się okazywało: że Jan Faust Czech z Kuttenbergu (z *Kutnej-hory* rodem) roku 1421 podczas wojen husyckich do Strasburga zbiegł, tam druk wynalazł, i Kuttenbergiem-Guttenbergiem się przezwał. *A...*

Postępy języka madiarskiego. Pewien korespondent z Pesztu, umieścił w piśmie czasowem *Hirnök* pod dniem 26. stycznia, o postępach madiarskiego języka w Budzie i Peszcie co następuje: »Język ojczysty (*á hazai nyelv*) w stołecznych miastach naszych postępuje w najnowszym czasie olbrzymim krokiem, a mówienie nim w najpiérwszych domach do dobrego tonu należy. Jak przed pięciudziesiąt laty język łaciński był tamże językiem uczonych i wyższego towarzystwa, tak teraz słodki, domowy (*honi*) jego miejsce zastąpił. Ledwo znajdziesz jeszcze kilka domów obywateli miejskich, w którychby krajowi nauczyciele synom i córkom familij niemieckich w madiarskiém języku nauki nie udzielali. Z równą gorliwością upowszechnia się ten język w kościołach wszelkich wyznań. W kościele ewanielickim i reformowanym miewano kazanie po większéj części w języku niemieckim; przełożone duchowieństwo kościoła reformowanego, stosując się do potrzeb i ducha teraźniejszego czasu, zawyrokowało spaniałomyślnie (*nagylelküleg*), że gdy spółobywatele obcym językiem (*idegen ajku*) mówiący, w mówieniu słodkiém, krajowém (madiarskim) coraz większe znajdują upodobanie, przeto nakazujemy, aby kazanie co niedziela w madiarskim języku miewano, a nabożeństwo w języku niemieckim, dopiéro po skończeniu nabożeństwa madiarskiego się zaczynało, co w kościele ewanielickim już prawie od dwóch lat zaprowadzono. Prawda, że ewanielicko-luterski kościół w Peszcie ma już własnego madiarskiego kaznodzieję, a madiarskie nabożeństwo poprzedza w nim już od dwóch lat nabożeństwo niemieckie, lecz niedawno temu, jak pewny przejeżdżający Madiar pod nazwą Honti uholewał w Peszteńskim dzienniku *Tarsalkodó*, że gdy się udał na kazanie madiarsko-ewanielickiego kaznodziei *Szekacz*, który doskonałym jest mowcą, bardzo mało słuchaczy w kościele zastał. Przeciwnie zaś powszechnie jest wiadomo w Peszcie, że na niemieckie kazanie w ewanielicko-luterskim kościele ciągle liczna publiczność uczęszcza. A że do

miasta Pesztu przy wzmagającéj się coraz bardziéj przemysłowości i handlu każdego roku przybywa znaczna ilość niemieckich kupców, artystów i rękodzielników, którzy z powodu zatrudnienia swego, nie mają czasu do nauczenia się dokładnie języka madiarskiego i odzwyczajenia się od macierzystego, dla tego jako nieuprzedzony (*el nem fogult*) wolny Węgier sądzę, że równie trudno będzie Peszt zmadziaryzować, jak trudno było niemieckie, nad-morskie miasta handlowe, w którém mnóstwo Włochów zamieszkało, zgermanizować.«

Paganini w Nizie. Pewien korespondent donosi z Nizzy pod dniem 11go stycznia b. r. co następuje: »Widujemy tu codziennie wielkiego wirtuoza na wiolinie. Zmartwił go wprawdzie niemało ostatni wyrok handlowego sądu w Paryżu, jak wiadomo, skazujący go na zapłacenie przedsiębiercom sławnego Cassyno Paganiniego bardzo znacznéj kwoty pieniężnéj; jednakże jest on jeszcze dość silnym, i nieraz słychać go czasem głośno, a czasem z założeniem sardynki grającego na skrzypcach. Nadmienia on częstokroć o nowéj szkole wiolinowéj, którąby wydać sobie życzył, i utrzymuje, iż pod względem mechanizmu ułatwiłby znacznie naukę i podałby sposób otrzymania najczyściejszéj intonacyi, jakiéj dotychczas żaden z wiolinistów nie wydał.

Familija Mehmeda Alego. Mehmed Ali urodził się w *la Cavala* roku 1769. W roku 1787, przeto mając lat ośmnaście, ożenił się z szesnastoletnią dziewczyną, córką najznakomitszego mieszkańca w *la Cavala.* Z tą żoną spłodził w samém mieście *la Cavala* 1) Ibrahima Baszę 1789 (?); 2) córkę, która z Muharremem Bejem, teraźniejszym gubernatorem Aleksandryi a synem byłego gubernatora w *la Cavala* zaślubiona, bezdzietną umarła; 3) Toussun baszę (zmarły), ojca Abbasa Baszy; 4) Izmaiła Baszę, który bezdzietny umarł; 5) córkę, teraźniejszą wdowę po Defterdarze Mehmedzie Beju, mającą obecnie lat 40 i podobnież bezdzietną. Podczas swego pobytu w Egipcie spłodził Mehmed Ali 43 dzieci, z których następujące jeszcze po dziś dzień żyją: 1) Said Bej, urodzony 1822; 2) córka urodzona 1824; 3) Hussein Bej, urodzony 1825; 4) Hakim Bej, urodzony 1829; a nakoniec 5) Mahmud Ali, urodzony 1833. Abbas Basza, syn Toussuna Baszy, urodzony 1813, jest obecnie gubernatorem Kahiry. Synowie Ibrahima Baszy są: Ahmet Bej, urodzony 1825; Izmaił Bej, urodzony 1830; Mustafa Bej, urodzony 1832. — W ogóle Mehmed Ali ma następujących synowców i siostrzeńców: Ahmeda Baszę, gubernatora Mekki, mającego lat 40; Ibrahima Baszę, jenerała dywizyi w Hedżazu, mającego lat 35; Izmaiła Baszę, gubernatora Alepu, mającego lat 32, i Hussejna Beja, mającego lat 32, który nié ma żadnéj honorowéj posady; prócz tego Wicekról ma jeszcze dwóch zupełnie młodych, małoletnich siostrzeńców. Ztąd pokazuje się, że dóm wicekróla Egiptu za szeroko rozpostarł swe gałęzie po całym tym kraju, aby kiedy Wielkiéj Porcie powieść się mogło, odebrać mu jego dziedzictwo; albowiem tak mocno wkorzenione drzewo nie da się za jednym ciosem obalić.

Bilijon. Słowo to wymyka się z ust nie jednemu, który o jego objętości, najmniejszego pojęcia nie ma. Summę obejmującą dziesięć kroć sto tysięcy (milijon) milijonów, bilijonem zwiemy. Gdyby kto bilijon chciał policzyć, i każdéj minuty 60 jednostek albo każdéj sekundy jednę wymówił i tak dniem i nocą bez najmniejszéj przerwy wciąż liczył, potrzebowałby 31,709 lat, 289 dni, 1 godzinę, 46 minut i 40 sekund. Albo gdyby kto bilijon talarów w jednym roku chciał przeliczyć, potrzebowałby do tego 31,709 ludzi, którzyby bez przestanku co minuta 60 talarów przeliczyć musieli, a przecieby rachubę tę zupełnie nie skończyli. Przypuściwszy, iżby taki talar jeden łót śrébra w sobie zawierał, potrzebaby na wybicie 312 milijonów 500,000 cetnarów śrébra, a do przewiezienia téj summy 31,250,000 koni, licząc na jednego konia po 10 cetnarów śrébra.

Amerykańsko-indyjskie plemiona znikają! Amerykański malarz Catlin umieścił w egipskim gmachu w Londynie, bardzo ciekawy zbiór wizerunków, ubiorów i wiele innych obrazów przedstawiający obrzędy i zwyczaje Indyjan, którym w czasie siedmioletniéj swojéj podróży po tym kraju, dokładnie się przypatrzył. W przemowie do opisu szczegółów tych, utrzymuje on, iż ponieważ się od lat kilku przekonał, że liczne amerykańsko-indyjskie plemiona, szybkim krokiem zbliżają się do swojego upadku, i że obrazowe przedstawienie tego umierającego ludu może miéć niejaką ważność dla potomności; postanowił przeto właściwości tego narodu pęzlem i piórem od zagłady zachować. Na dowód tego przytacza osobliwszy przykład nieszczęścia, które Indyjanom zagraża. Pokolenie Mandanów, osiadłe nad brzegami rzéki Missury, liczyło przed trzema laty jeszcze 2000 dusz, a teraz już całkiem wyginęło. W roku 1837 pewien podróżny zawiózł mu na statku parowym ospę; na tę nieszczęsną chorobę w przeciągu kilku tygodni całe plemię wymarło tak dalece, iż się nie ostało jak 40 familij, które z rozpaczy śmierć sobie zadać chciały. Na tę osadę napadło późniéj nieprzyjaźne jéj plemię, i zabrało pozostałych w niewolę. Na tych zwycięzców uderzyli znowu Syouxowie, a podbite plemię Mandanów, rzuciło się śród zaciętéj walki pomiędzy nieprzyjaciół, aby im śmierć zadano, czego Syouxowie uczynić nie zaniedbali. Do upadku Indyjan przyczyniają się ponajwiększéj części grasujące pomiędzy nimi choroby i od białych Europejczyków nabyty nałóg do opilstwa. Wielu plemionom Indyjan srożąca się ospa zadaje straszną klęskę. Z Indyjan nad brzegiem Missury, którzy przed dwudziestą laty jeszcze 18,000 dusz liczyli, jeszcze tylko 400 pozostało, a w roku 1838 z bitnego plemienia Indyjan czarnonogich 12,000 osób na ospę umarło.

Gość stołowy. Pewien jegomość będący przedtém dziennikarzem w Paryżu, człowiek bardzo jowijalny, bywał często jako stołowy gość u znanego tamtejszego bankiera, a nakoniec u niego na wexel dług zaciągnął. Nadszedł termin wypłaty, ale dłużnik nié miał pieniędzy; bankier nie skarżył wprawdzie do sądu, ale niemiło mu było, iż żartobliwy gość jego odtąd domu jego unikać zaczął, a na domiar swéj niewdzięczności u stołu naprzeciw niemu nawet siadywać nie chciał. Z tego powodu podał bankier przeciw niemu zażalenie do sądu. Jakoż przed kilką dniami w saméj rzeczy wzięto dłużnika, który był tego przekonania, że go do więzienia wiodą. Ale jakże się nie zdziwił, gdy ujrzał, że go nie do więzienia lecz do bankiera w chwili gdy tenże przy stole siedział, zaprowadzono. Bankier przyjąwszy go grzecznie, rzekł do niego w te słowa: »Mój panie, miéj się na przyszłość na ostrożności, bo ile razy cię zaprosić każę, a bez dostatecznego powodu mnie nie odwidzisz, tyle razy przemocą przyprowadzonym będziesz.« — »Przyznaję wpanu wszelką słuszność w téj mierze,« odrzekł dłużnik, »gdyż wiadomo, iż wierzyciel uwięzionego dłużnika, podług praw naszych żywić musi.«

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.